



MARIA JUREWICZ

Maria Jurewicz, ur. 14 października 1907 r., nauczycielka publicznych szkół powszechnych.

Aresztowana 29 kwietnia 1940 roku we wsi Zieniewicze, gm. Wsielub, pow. Nowogródek. Dwóch pracowników NKWD przeprowadziło rewizję w obecności gospodyni, od której odnajmowałam mieszkanie. Zabrano prywatną korespondencję i osobiste dokumenty. Przyczyny aresztowania nie ujawniono. Trzy dni przebywałam w lokalu NKWD i milicji w miasteczku gminnym Lubcz nad Niemnem wraz z grupą mężczyzn z okolicy, również aresztowanych. Po trzech dniach odwieziono nas w nocy do Nowogródka. Oni zostali tam w więzieniu, mnie odesłano bezpośrednio do Baranowicz. Tu do 22 czerwca przebywałam w areszcie śledczym przy NKWD. Śledczy żądał ode mnie określenia swego stosunku do władz sowieckich, a potem rozpoczął serię wykładów na temat konieczności wywiezienia osadników, gajowych, rodzin wojskowych i policyjnych do ZSRR. Poruszał sprawę potęgi, uzbrojenia i siły moralnej Armii Czerwonej (jako przykład służyło niedawne zwycięstwo sowieckie w Finlandii), przyjaźni niemiecko-sowieckiej i zgniłej zachodnioeuropejskiej kultury Anglii i Francji, do której ciążyła według niego kultura polska.

Teraz zdaję sobie sprawę, dlaczego poruszał właśnie te tematy. Przyczyną bowiem mego aresztowania nie były doniesienia ludności ze wsi, która chociaż białoruska i skomunizowana (najbardziej uległy wpływom komunizmu zakątek gm. Wsielub) i wiedziała, że jestem Polką i tyle lat w polskiej szkole pracowałam, nigdy nie robiła mi żadnych przykrości. Zawsze znajdował się element, z którym można było dojść do porozumienia. Spotkałam się jedynie z wrogimi wystąpieniami najbardziej uległej wpływom sowieckim grupy młodzieży. Właściwym powodem były listy pisane do jednego z kolegów nauczycieli przebywającego w obozie internowanych na Litwie. W listach tych, prócz spraw osobistych podałam, pisząc mlekiem, kilka wiadomości o brutalnych sposobach wywożenia osadników i gajowych oraz

o niepowodzeniach armii sowieckiej w Finlandii (czerpanych z wiadomości podawanych przez radio francuskie i angielskie). Pisałam też o atmosferze panującej w sowieckiej szkole. Wywody śledczego dotyczyły właśnie tych tematów. Dalsze badania odbywały się przeważnie w nocy. Szczególnie natarczywie domagał się charakterystyki nastrojów i poglądów okolicznych nauczycieli Polaków. Mimo niezadowolających odpowiedzi zachowywał się spokojnie i nie używał metod brutalnych. Po kilku tygodniach przerwy rozpoczął badania inny śledczy, stosując drwiny z marzeń o wielkości Polski i wiary w jej istnienie, wybierał z gazet i czytał urywki opisujące niepowodzenia ekspedycji wojsk sprzymierzonych w Norwegii. Nieraz słyszało się z ust jego stek najohydniejszych wymyślań na polskich panów, oficerów. Zdawało się chwilami, że posunie się do bicia. Kiedy wreszcie odczytał mi urywki z listów i wiedziałam, że z całą pewnością ma je w swym ręku, stwierdziłam, że je pisałam i że przekonania w nich wyrażone są moimi przekonaniem. To zakończyło śledztwo i odesłano mnie do więzienia.

Przy areszcie w NKWD cela kobieca była tylko jedna. Były w niej same Polki. Przeważały w niej aresztowane za przekroczenie granicy sowiecko-litewskiej. Powody tego były różne: chęć połączenia się z rodziną, obawa przed aresztowaniem i wywiezieniem do Rosji, sprawy tajnych organizacji, bardzo nieliczny procent stanowiły spekulantki. Przyczyną tego ostatniego [przestępstwa] był brak środków materialnych na utrzymanie rodzin. Znajdowało się też w więzieniu kilkanaście kobiet wyrzuconych z Wilna z powodu braku dokumentów stwierdzających zamieszkiwanie w tym mieście przepisaną liczbę lat. Niektóre były aresztowane za udział w śpiewaniu „Boże, coś Polskę...” po nabożeństwie majowym w kościołach wileńskich. Policja litewska przyprowadzała takie osoby nad granicę sowiecką, każąc im iść i unikać patroli sowieckich. To było oczywiście wykluczone i wpadały one w ich ręce, były aresztowane i odwożone do więzienia. Po kilku miesiącach niektóre z tych osób zostały zwolnione, niektóre wywiezione do Rosji. Polityczne (właśnie ten udział w śpiewie) – zostały w więzieniu. Osoby aresztowane na granicy przechodziły już szereg śledztw, nieraz bardzo ciężkich, na posterunkach bliższych granicy. W baranowickim NKWD zakańczano śledztwa, zasadniczo więc odbywały się one spokojnie. Oprócz „granicznic” znajdowało się kilka młodych dziewcząt, przeważnie uczennic gimnazjów i liceów z Lidy, Stołbców, Grodna, które były aresztowane za udział w tajnych organizacjach. Te przechodziły sroższe badania. Kiedy opierały się i nie chciały wydać członków organizacji, pozbawiano je kontaktu z rodziną (paczki, listów pisać nie było wolno). Czytano im protokoły zeznań członków organizacji, którzy naprawdę jeszcze wcale nie byli aresztowani, podawano fałszywe wiadomości

o rodzinie. Badania odbywały się bardzo często we dnie i w nocy, mogły też trwać kilkanaście godzin bez przerwy, śledczy wówczas się zmieniali. Stosowano [też] karcer.

W stosunku do mężczyzn wszystkie te metody były wzmożone. Opieki lekarskiej przy NKWD nie było. Chorzy leżeli bez żadnej pomocy. W celi przeznaczonej na cztery osoby mieściło się nieraz 15. Spaceru i łaźni nie było przez kilka miesięcy. Na pożywienie składały się: rano gorąca woda i 600 gramów chleba, w południe krupnik gotowany na rybie lub na płuckach, wieczorem taka sama zupa. Wieści o tym, co się dzieje w kraju i na świecie, dochodziły tylko za pośrednictwem nowo aresztowanych osób. Zawsze istniało porozumienie z sąsiednimi celami przy pomocy [alfabetu] Morse'a lub dziury wywierconej w ścianie. Czasami udało się zdobyć skrawek gazety sowieckiej. Do więzienia za miastem przewożono nas zamkniętym samochodem podzielonym na małe celki. Popularnie w języku więziennym mówiono o nim *sobacznik*.

W samym więzieniu kobiety początkowo zajmowały cztery cele (23, 25, 29, 32). W miarę przybywania nowych czyniło się w nich coraz ciasniej (w celi przeznaczonej na 12 osób – 54, w celi przeznaczonej na 6 osób – 27 do 30). Kobiety mdlały z gorąca. Każdej nocy część musiała czuwać, bo na leżenie na podłodze nie było już miejsca. Odżywianie było takie jak i w NKWD. Na spacer chodziło się kilka razy w tygodniu na mały placzyk ogrodzony wokół deskami. Łaźnia była mniej więcej raz na 10 dni. Na ogół kobiety w tym okresie nie chorowały obłożnie. W szpitalu więziennym były łóżka, przychodził lekarz, lecz mało miał do dyspozycji środków. Pożywienie było takie samo jak i w celi.

Kobiety w każdej celi stosowały głodówkę, domagając się przede wszystkim zlikwidowania ciasnoty. Wreszcie władze więzienne spełniły te żądania i kobiety ze wszystkich czterech cel (około 160) umieszczono w dużej sali dawniej służącej więźniom za jadalnię. Stąd w dniu 28 czerwca 1940 roku wywieziono pierwszy transport (60 kobiet) do ZSRR. Były one w więzieniu w Orszy, potem wywieziono je przeważnie do obozu pracy w Poćmie.

Zaraz po ich wyjeździe (pierwsze dni lipca 1940) nastąpiła fala aresztowań tzw. *bieżenek*. Były to przeważnie Żydówki z części Polski okupowanej przez Niemcy. Znalazły się tutaj, uciekając przed bombardowaniem i prześladowaniami niemieckimi. Niektóre tylko młode komunistki przekroczyły granicę niemiecko-sowiecką z myślą, że pod okupacją Armii Czerwonej będzie im dobrze. Wywieziono je wszystkie do Rosji w sierpniu 1940.

W dalszym ciągu w więzieniu były tylko Polki. Element podobny jak w NKWD. Raz po raz wzywano którąś na wyrok i ta do celi już więcej nie wracała. Transporty odchodziły regularnie co miesiąc do października. W tym okresie wybuchła w męskich celach epidemia tyfusu. To było prawdopodobnie przyczyną wstrzymania transportów. Przez cały listopad nie wyprowadzano nas na spacer. Do ustępu też nie chodziłyśmy. Około 90 kobiet musiało codziennie załatwiać swe potrzeby na *paraszce*. Była to kara za prowadzoną na ścianach ustępu korespondencję. Większość chorowała na awitaminozę i świerzb. Siostra przychodziła codziennie, ale nie miała prawie żadnych środków.

Wskutek bezruchu ustaliła się liczba około 80 kobiet, które stale przebywały w celi. Próbowaliśmy, mimo jak najcięższych warunków, zorganizować trochę życie kulturalne. Składało się na to opowiadanie czytanych książek (beletrystyka, podróże, książki historyczne), próbowaliśmy nawet organizować wieczory, na które składały się pieśni, deklamacje pamiętanych utworów, inscenizacje. Rzeczy te udawało się wykonać dzięki dużej liczbie kobiet i obszernej sali – dawało to się ukryć przed okiem dyżurnych. We wrześniu przybyło znowu kilkanaście młodych dziewcząt aresztowanych za udział w organizacji – one brały w tej pracy najczynniejszy udział. Oprócz Polek znajdowały się w celi Żydówki. Stosunek ich do Polek był zupełnie poprawny. Szanowały nasze uczucia, wyręczały nas w różnych pracach w okresie świąt, myśmy też odnosiły się poważnie do ich obrzędów. Inaczej było z kilku znajdującymi się w celi Litwinkami z okolic Ejszyszek (pow. Lida). Uważały one, że Polska prześladowała Litwinów jako mniejszość narodową i że teraz one mają sposobność odwetu. Dwie z nich zwolniono, dwie zostały wywiezione do Rosji.

Pisywać do rodziny nie było można. Jeśli rodzina wiedziała o miejscu pobytu więźnia, po długich staraniach mogła doręczyć paczkę z odzieżą i żywnością. Najwięcej kar (karcer) było za próby nawiązania kontaktu z innymi więźniami. Po wyroku zabierano do innej celi.

Mnie wywieziono z transportem, który wyjechał z Baranowicz 4 marca 1941 roku. Otrzymałam wyrok pięciu lat pracy w łagierach. Mężczyzn jechało tym transportem kilkuset, nas kobiet tylko osiem. Czterech z nich nie spotkałam dotąd ani w Iranie, ani w Iraku. Są to: Janina Borejsza i Janina Jałyńska z miasteczka Weronowo aresztowane za udział w organizacji i skazane na osiem lat pracy, Scholastyka Sznigiro z kolonii Przewor[...] w pow. lidzkim aresztowana i skazana na osiem lat za ukrywanie osadnika w swoim domu i zabicie przez niego podczas ucieczki milicjanta oraz Maria Kłódkowska z okolic Wilna aresztowana

za przekroczenie granicy i przenoszenie machorki. Warunki transportu były bardzo ciężkie – żywiono nas słoną rybą i chlebem, a brakło wody. Przez pięć dni nie dostawałyśmy w ogóle ani gorącej wody, ani ciepłej stawy.

W Orszy złączono nas z Polkami z więzień w Grodnie, Brześciu i Mińsku. Ogółem jechało około 180 kobiet. W wagonie towarowym jechało nas po czterdzieści kilka. Teraz dostawałyśmy już codziennie gorącą wodę, chleb i kawałek cukru, co parę dni dawano gorącą zupę (proso). Mimo palenia w piecyku dokuczało nocami zimno z powodu braku ciepłej odzieży. Najgorszy jednak był brak wody do mycia – świerzb i wszawica szerzyły się. Wśród kobiet nikt podczas transportu nie umarł, było natomiast kilka zachorowań na grypę. Lekarz przychodził co dzień, ale pomóc nic nie mógł, bo brakło mu lekarstw.

27 marca 1941 roku przywieziono nas do stacji Karabas (północny Kazachstan, karagandyjska [karagandyjska] obłast). Obóz pracy mieścił się o parę kilometrów od stacji. Ulokowano nas w brudnych i ciemnych barakach razem z Rosjankami. Najgorszą plagą były tu pluskwy, których pełno było w szczelinach ścian i prycz. Baraki otoczone były drutem kolczastym. Wchodziło się na podwórze przez wartownię. W nocy strzegły baraków jeszcze psy poruszające się wokół drutów na łańcuchach. Był to tak zwany punkt rozdzielczy. Stąd miano nas wysłać do pracy na fermach gospodarczych. Wyżywienie w tym okresie składało się z 400 gramów chleba, pół litra zupy rano i litra w południe.

Kobiety sowieckie były to przeważnie tzw. *szułman* – złodziejki. Polkom w nocy poczęły ginąć różne rzeczy, przede wszystkim ubrania. Meldunki o tym zmusiły do umieszczenia Polek w innym baraku. Przed rozesłaniem do pracy odbywały się badania lekarskie, ale bardzo pobieżne – dostawało się przeważnie kategorię t.t., co znaczyło *tiażołyj trud*.

Zostałam przeznaczona do fermy Bedoik razem z grupą kilkudziesięciu Polek i Rosjanek. Było to kilka sąsiednich ferm rolniczych. Polki przeważnie wzięto do pracy w ogrodzie. Nie byłam razem z nimi, ponieważ uważano mnie za słabszą fizycznie. Dostałam się więc pod tak zwaną *konwojkę*. Chodziłyśmy do pracy pod strażą. Najpierw było to bielenie wszystkich baraków w obozie z zewnątrz i wewnątrz. Potem melioracja, to znaczy regulowanie brzegów rzeki i sypanie tam służących do kierowania wody do kanałów nawadniających ogrody. Norma przy kopaniu i wnoszeniu ziemi była bardzo wysoka. Przeciętnie nie wykonywało się 50 proc. Dostawało się więc: rano pół litra zupy, w południe 500 gramów chleba,

zupę i trochę kaszy. Kolację dostawali tylko wyrabiający pełną normę. Praca trwała 10 godzin, z dwugodzinną przerwą na obiad. Przy końcu maja wyjechałam do fermy zwanej Akszagatem na sianokosy. Polek tu było zaledwie kilka, pracowały przy wyróbce tzw. samanu, z trudem wyrabiały normę, ale przepisanego wynagrodzenia nie otrzymywały. Na fermie tej hodowano owce. Było ich około pięciu tysięcy. W obecnej porze znajdowały się w stepach w tzw. hurtach. Praca w samej fermie polegała na czyszczeniu baz z nawozu, którego potem używano na opał. Normy nikt nie mógł wykonać. Suchy nawóz pocięty na kwadraty, tzw. kiziak, układano w sterty, nawóz ze słomy układano w kopice. Praca w bazach i przy tym nawozie była niebezpieczna, gdyż groziła nabawieniem się choroby zwanej brucelozą. Chorowały na nią owce i krowy. Wszyscy więźniowie, nawet strażnicy i naczelnik, też byli chorzy. Choroba objawia się bardzo zmienną temperaturą, bólami stawów, trwa bardzo długo i powtarza się. Wykrywa się ją podobnie jak malarię przez badanie brwi. Z Polek na brucelozę chorowała jedna.

Na sianokos wyjechaliśmy w step. Mieszkaliśmy tu w szałasach, kuchnia była na dworze. Przez jakiś czas w szałasach mieszkali razem mężczyźni i kobiety. Praca trwała od świtu do zupełnego zmroku, z krótką przerwą na obiad (około 16 godzin). Kobiety pracowały przy *kosilkach* i grabiach ciągnionych przez traktor, przy zwózce siana, przy kopieniu, przy *kosilkach* ciągnionych przez woły, przy grabiarkach konnych. Obsługa traktorów, grabiarek i *kosilek* przeważnie wyrabiały normę. Przy zwózce siana wyrabiano około 50 proc. Wyżywienie było następujące: rano zupa i gorąca woda, w południe zupa i trochę kaszy lub placek z mąki, wieczorem zupa. Jeżeli się wyrabiało normę, dostawało się 900 gramów chleba, jeśli nie – zmniejszono ilość chleba stosownie do procentu wykonanej pracy. *Normiowszczyce* obliczające wykonaną pracę w stosunku do Polek były nieuczciwe, pisały zawsze mniejszy procent.

W samej fermie polityczne mieszkali w osobnym baraku. Były to przeważnie żony aresztowanych mężów, kobiety inteligentne. Polki umieszczano zwykle w tym baraku. Na sianokosie wszystkie jednak musiały mieszkać razem z *szałmanem*. Na wypadki kradzieży strażnicy nie reagowali prawie zupełnie. Brakło wody do mycia się. Łaźnia bywała tylko w dni deszczowe i wietrzne i trzeba było chodzić do niej kilka kilometrów na fermę.

W związku z wybuchem wojny sowiecko-niemieckiej w końcu czerwca zmniejszono rację chleba do 700 gramów za pełną normę. W drugiej połowie lipca ściągnięto wszystkie Polki

pod konwojkę. Chodziłyśmy do pracy w ogrodach i na melioracji. Normy podwyższono. Wyrabiało się około 40 proc. Wyżywienie jak poprzednio pod konwojkę – tylko zupy były rzadkie. O amnestii dowiedziałyśmy się w pierwszych dniach lipca. Pierwsza grupa zwolnionych odjechała 2 września. Ja wyjechałam do Karabasu z drugą grupą 20 września. Tutaj wszystkie zwolniono, z każdej jednak grupy zostawiono parę. Ja należałam do tych ostatnich. Nie wyjaśniono nam przyczyny tego. Sądzę, że przyczyną mego zatrzymania było to, że jestem urodzona w powiecie Mińsk Litewski. Bez pracy oczekiwaliśmy na zwolnienie do 20 października. Baraki były brudne, pełne pluskiew, ciasnota. Wyżywienie: 400 gramów chleba, pół litra zupy rano i litr w południe. Od 20 października zabrano nas do pracy w składzie warzyw. Praca trwała 10 godzin we dnie lub w nocy (zmiana grup co pięć dni). Racje chleba podwyższono do 600 gramów dziennie.

Żadnych apelacji o zwolnienie nie pozwolono nam czynić. Pierwszą grupę zwolniono 27 grudnia 1942. Okres od zwolnienia do wstąpienia do wojska był bardzo ciężki. Brakło odzieży, obuwia, pieniędzy na zakupienie nawet tego pożywienia, które można było dostać w kolejce. Placówki polskie dopiero się organizowały. Pracy zapewniającej zaspokojenie najprymitywniejszych potrzeb nie było. Po wędrówce poprzez Pietropawłowsk i Nowosybirsk znalazłam się w transporcie kierowanym już przez nasze władze w Dżambule. Tu jednak nas nigdzie nie umieszczono. Pojechaliśmy do Frunze. Wobec braku innej pracy grupa około 100 Polaków i Polek zgłosiła się do pracy przy budowie szosy koło stacji Karabałta. Po przyjeździe na miejsce okazało się, że nie jest to budowa szosy, tylko łagierów w górach koło wsi Sosnówka. Praca była bardzo ciężka: kopanie zmarzniętej ziemi, noszenie gliny na dachy itp. Nikt normy nie mógł wyrobić i nikt nie zarabiał tyle, by pokryć wyżywienie (400 gramów chleba i dwukrotnie zupa). Większość nie miała odpowiedniej do pracy odzieży i obuwia. Niektórzy kradli, inni chodzili po kołchozach okolicznych i prosili o kawałek chleba. Mobilizacja mężczyzn (10 Dywizja Piechoty, Ługowaja) przerwała ten stan. My, kobiety samotne, też zdecydowałyśmy próbować dostać się w szeregi Pomocniczej Służby Kobiet. Była to jedyna ucieczka przed poniewierką i jedyna możliwość pracy dla swoich. Przy pomocy delegata rządu RP, który umożliwił nam przejazd do Ługowoj, gdzie komendantka kompanii PSWK stwierdziła, że zna mnie z więzienia i że dane moje o sobie są prawdziwe, zostałam przyjęta do PSK w połowie lutego 1942 roku.

W więzieniu z kobiet przebywających razem ze mną nie umarła żadna, natomiast skazano na śmierć 19-letnią uczennicę drugiej klasy liceum w Prużanie, Halinę Cepryńską. Wyrok do czasu naszego wywiezienia nie został wykonany. Przebywała jeszcze w celi śmierci.



W szpitalu więziennym zmarła jedna kobieta, nazwiska jej nie znałyśmy.

W łagierach skazano na śmierć Marię Jaszczułą. Czy wyrok został wykonany, nie wiem, dotąd nigdzie jej nie spotkałam. Ze zwalnianych jednak w Karabasie wielu brak. I tutaj właśnie w okresie po zwolnieniu z obozów pracy wiele kobiet ginęło. To był okres najcięższy. Wstąpienie do PSK uratowało życie wielu kobietom.